

Bułgaria - 2004

Wyjeżdżamy początkiem lipca około 6.00 z Jasła, Ja z synem na Transalpie a Piotrek z małżonką na swoim nowym nabytku, Hondzie PC-800. Po niespełna dwóch godzinach jesteśmy na granicy z Ukrainą w Krościenku, gdzie ku naszemu zadowoleniu nie ma kolejki.

Miły nastrój szybko mija, ukraińskie służby graniczne skutecznie przedłużają odprawę a na koniec wręczają nam blankiety /ponoć wizowe/, które mamy wypełnić. Zgodnie z zasadą, iż z koniem nie należy się kopać posłusznie wpisujemy stosowne dane w mikroskopijne okienka. Panią z okienka "krasawica" ostemplowuje kwitki a następnie odrywa ich dolną część i zwracając je nam oświadcza, iż bez nich z Ukrainy już nigdy nie wyjedziemy. Perspektywa mało porywająca więc postanawiamy bez zbędnych dyskusji i zadawania pytań w stylu "dlaczego?" i "na co mi to?" pilnować ich jak przysłowiowego oka w głowie.

Okolo 9.00 jesteśmy ponownie w trasie wiodącej czymś co raczej przypomina tylko drogę, i to drogę dziesiątej kategorii odśnieżania.





Transalp jest w swoim żywiole natomiast Piotrek z Agnieszką na swoim Pacyfiku przeżywają mały koszmar. Mijane miejscowości: Chirov - Sambor - Stryj - Ivano Frankovsk robią na nas podobne wrażenie jak pseudo-asfaltowa nawierzchnia, dopiero Cernovcy trącą współczesnością i przypominają nam - choć nie bez trudu, że jesteśmy w Europie XXI wieku. Taaaak !, miasto wygląda lepiej niż poprzednie, tylko ktoś zapomniał o asfalcie i zamiast niego ułożył a raczej porzucił wypolerowane na lustro kamienie. Efekt jest piorunujący, kamyczki gładkie jak dupcia niemowlaka a na nich warstewka oleju, pyłu i innych nieustalonych substancji na których motorek tańczy jak baletnica w moskiewskim teatrze Balszozj. Przy wyjeździe z miasta na drogę E-85 /kierunek na przejście z Rumunią/ zaczyna się piękny kawałek szerokiego pasa nowiutkiego asfaltu, który jak się po chwili okazało jest chyba przemyślaną ekonomicznie inwestycją służb mundurowych.





Z narażeniem własnego życia z pomiędzy sznura jadących przeciwnym pasem ruchu ciężarówek wypada pan w mundurku, który nie tyle daje nam znak do zatrzymania co usiłuje złapać nas niczym obrońca napastnika w rugby. Zatrzymujemy się i podejmujemy nierówną walkę a w zasadzie pertraktację "finansową". Nie bardzo wiemy jaka jest podstawa założenia, iż jechaliśmy zbyt szybko /panowie nie mają jakiegokolwiek radaru czy nawet suszarki do włosów, która tokowy mogła by udawać/, jednak postanawiamy uderzyć w skruchę i liczyć na łaskę.

O dziwo nasza postawa przynosi rezultat i po piętnastu minutach zamiast zubożeni jedziemy dalej bogatsi o nowe doświadczenie. Na granicy jesteśmy około 16.00 i tu znowu kolejne zaskoczenie. Przed wyjazdem osłuchaliśmy się, iż jest to "dzikie" miejsce, gdzie rządzi Ukraińsko-Rumuńska mafia pobierające haracze od stojących w ogromnej kolejce ludzi, a tu żywej duszy, nawet celnika musimy szukać. Gość znajduje się po kilku minutach i z wyraźnym zdziwieniem ogląda nasze paszporty a następnie informuje, iż możemy jechać dalej.

No ale to byłby szczyt luksusu, jedziemy tylko 100 metrów i kolejne bramki - rumuńskie. Pamiętam Rumunię z wiosny 2003 roku, kiedy to na przejściu Węgiersko-Rumuńskim na Oradee stałem niemal godzinę i budzą się we mnie podobne obawy.



A tu życie zaskakuje mnie po raz kolejny, miła i niebrzydka dziewczyna nie dość, że odprawę załatwia w pięć minut to jeszcze mówi, iż sama jeździ na motorze a jej mąż to nawet startuje w zawodach motokrosowych. Żegnamy Ukrainę i jedziemy wгłęb Rumunii kierując się na Suceave - Bacau.

Droga ucieka, ale gdzieś koło miejscowości Roman musimy zacząć rozglądać się za noclegiem. Nie jest łatwo, kempingu nie widziałem od Ustrzyk Dolnych a perspektywa spania na poboczu w kraju o nienajlepszej reputacji nie nastraja optymistycznie. Po kilkudziesięciu kilometrach bezowocnego wypatrywania jakiegokolwiek "oazy" wjeżdżamy na

teren jakiegoś rumuńskiego gospodarstwa przypominającego nasze rozpadające się PGR-y. Podchodzi do nas gość wyglądający na miejscowego kłozarda, który oświadcza, iż jest dyrektorem i "szefem szefów" a z noclegiem nie ma najmniejszego problemu. Uczucia mamy mieszane, gość na pierwszy rzut oka nie budzi zaufania tym bardziej że dziurawe gumofilce i niemiłosiernie brudne i zniszczone ubranie robocze nijak nie pasują do wizerunku dyrektora nawet tak źle wyglądającego gospodarstwa.

No ale cóż, spać gdzieś trzeba, rozbijamy namioty i postanawiamy nabrać odwagi przy jednoczesnej kuracji antystresowej bazującej na litrowej butelce miejscowego 40% specyfiku. Na odgłos rozkręcanego "szkła" zjawia się ponownie niczym Dżin z lampy Alladyna "szef szefów" w towarzystwie trzech groźnie wyglądających pasterskich psów. Gość siada obok nas na schodach do budynku /podobno kiedyś dyrekcji tej instytucji/ i ku naszemu zdziwieniu odmawia konsumpcji, chory jakiś czy co?. Rozmowa idzie początkowo opornie - rumuński to nie słowacki czy rosyjski, ale w miarę ubywania detergentu ze szklanej buteleczki opanowujemy język i można nawet zaryzykować twierdzenie, iż mówimy po rumuńsku lepiej od niejednego autochtona.



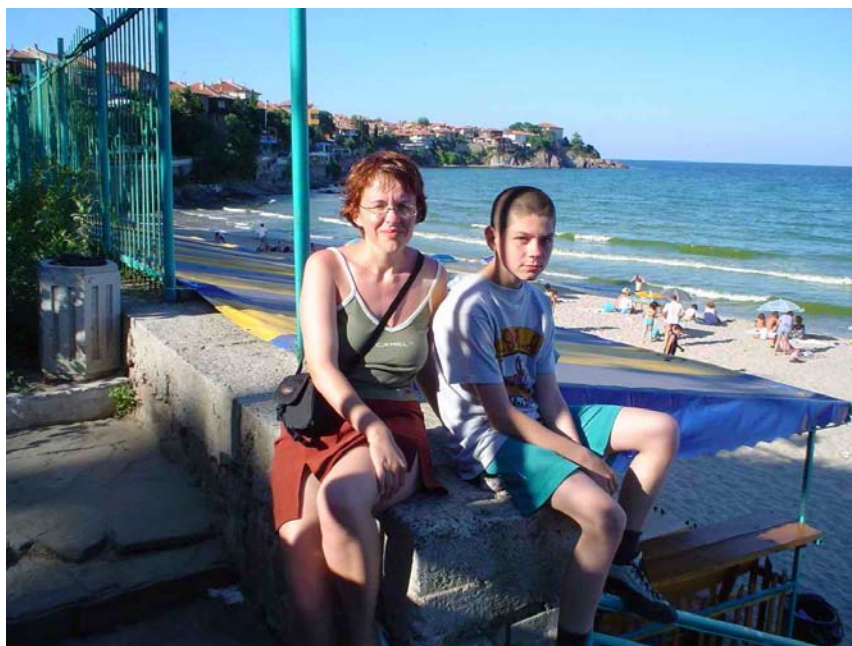


Wymieniamy poglądy na temat ostatniego, komunistycznego Księcia Karpat oraz wysłuchujemy opowieści o "pierestrojce" w rumuńskim wydaniu. Tak upływa kilka godzin i w końcu około północy żegnamy gospodarza i idziemy spać. Poranek wita nas pięknym słońcem oraz kolejną pozytywną niespodzianką.

Pomimo naszych obaw nic, ale to absolutnie nic /nawet jeden papieros z rozpoczętej i pozostawionej na schodach paczki/ nie zmieniło właściciela a dyrektor już zdążył przynieść wody na poranną toaletę i nawet zadeklarował możliwość jej przegotowania. Szybko pijemy kawę i po spakowaniu namiotów ruszamy w stronę Constanti. Mijamy kolejno Bacau i Buzau a następnie skrótem lecimy na Słobozie i most na Dunaju. Po drugiej stronie rzeki podejmujemy decyzję - zatrzymujemy się gdzieś nad morzem za Constantią w kierunku na przejście graniczne z Bułgarią - Vama Vecie. Miejsce znajdujemy w miejscowości Costinesti.

Jest to mały kemping a w zasadzie ogrodzony drewnianym "murem" kawałek placu w centrum tego typowo letniskowego miasteczka z dwoma toaletami, kilkoma domkami typu chatka na kurzej nóżce i namiotem kuchennym z lodówką i kuchenka gazową. Warunki jak dla nas "pełny luksus" i w zasadzie all inclusiv za 2 EU od osoby /to nie pomyłka - dwa euro od osoby/ w tej opłacie mamy również zagwarantowane na terenie kempingu miejsce na motory. Jak się okazuje kemping jest dozorowany non stop a płot tj. dwumetrowy mur z desek uniemożliwia jakkolwiek widoczność nie mówiąc już o niechcianej wizycie z

zewnątrz. Parkujemy motory i rozbijamy namioty a następnie podbudowani ceną i warunkami udajemy się na kolacje do pobliskiej restauracji. W Costinesti spędzamy na leniuchowaniu dwa kolejne dni, plaża nie jest najpiękniejsza ale ludzie niezwykle mili i przyjaźni a jedzenie dobre i tanie - żyć nie umierać. Tyle dobrego, przychodzi trzeci dzień i rankiem opuszczamy kemping. Gdy tylko wyjeżdżam na główną drogę i odkręcam manetkę słyszę niepokojące dźwięki z tylnego koła. Czyżby łańcuch, który ma z 25.000 km. i dawał już popalić w kraju gdzie odmawiał posłuszeństwa i wymagał ciągłej regulacji. Stajemy w Mangalii gdzie w zakładzie wulkanicznym podciągam naciąg i sytuacja się poprawia.



Kolejne pół godzinki i jesteśmy na granicy. Sytuacja lubi się powtarzać, na granicy żywego ducha a odprawa trwa, a w zasadzie to nawet nie trwa bo celnik widząc motory i paszporty w "zębach" macha ręką. No ale "powtórka" nie jest wiernym odbiciem sytuacji z poprzedniego przejścia, co prawda po 100 - 200 metrach jest i drugi szlaban ale tam odprawa nie przebiega już tak sprawnie. Jesteśmy sami czyli pierwsi w kolejce ale zanim jeszcze zdążyliśmy dojechać do pierwszego z "kiosków" wypada z niego gość w mundurze i oświadcza, iż obecnie jest zmiana a my na namalowanej centralnie w słońcu linii z ledwo widocznym napisem STOP mamy czekać do godziny 10.00, czyli około 30 minut.

No cóż widać tak trzeba, stajemy pokornie i czekamy. Podjeżdżają kolejne samochody i autokary a z kierunku szlabanu nie docierają jakiegokolwiek ruchy świadczące o chęci przejścia służby przez rzekomo nową zmianę. Dostrzegam, iż przejściem dla wjeżdżających na teren Rumunii, które odgraniczone jest od nas jedynie pasem zieleni poruszają się samochody w obu kierunkach, jednak ich przepuszczenie poprzedzone jest "symposium ekonomicznym" w budce celników. Sprawa staje się jasna - trzeba dać!, no ale Polak to oszczędny i w dodatku krnąbrny naród.

Decydujemy się na "rozwiązanie siłowe", wyczekuję moment, gdy jeden z celników wyglądający na ważną osobę /gwiazd na pagonie niczym na niebie w Akermanie/ przechodzi w naszym pobliżu i wyciągając telefon głośno oświadcza, iż "dzwonię do polskiej ambasady w Sofii". Celnik wyraźnie zwolnił kroku i z uśmiechem zerknął w naszą stronę jednak widząc telefon, który jak na żądanie zaczął dzwonić /przyszedł SMS o aktywacji w sieci Bułgarskiej/ natychmiast spoważniał i wrócił do pomieszczenia z którego to dopiero co wyszedł.

Strach nas obleciał, będą strzelać a może powieszają, czy aby pomysł był słuszny a może lepiej "na kolana". Stojący za nami, głównie obywatele dwóch granicznych państw i kilku turystów z Mołdawii chyba zrozumieli sytuację, gdyż zaczęli się od nas odsuwać równocześnie bacznie obserwując "egzekucję".



Znowu dziwko!!!, nie dość, że nie ma egzekucji to jeszcze Pan, który przed momentem tak nagle spoważniał wypada z dwoma kolegami z budki i zdecydowanym ruchem nakazuje nam jechać jednocześnie podnosząc szlaban. Podjeżdżam do niego i usiłuję dać mu paszport jednak on z wyraźnym obrzydzeniem dla takiej biurokracji macha przyjaźnie /zaryzykuje stwierdzenie, iż nawet z lekka poufałe/ ręką i mówi łamaną polszczyzną:

"szeroki drogi pan motocyklist". Taktyka zdała egzamin na 100% a po chwili okazało się, iż niechcący pomogliśmy też innym "skazanym", gdyż stojąc na poboczu jakiś kilometr od przejścia /ponownie łańcuch zaczął hałasować/ spostrzeżliśmy jadących towarzyszy niedoli, których widać też odprawiono "bez zbędnych formalności". No łańcuch łańcuchem ale trzeba jechać dalej i tak nic nie zmienię a w razie czego mam zapasowego DID-a /przecucie czy co? sam nie wiem ale opatrność czuwała.

Mijamy Varne i lecimy w kierunku Turcji na Burgas. Nie dane nam jednak "umrzeć w pokoju", tuż za zjazdem na Nesebyr coś odpada od mojego motoru a maszyna zaczyna dziwnie falować. Zatrzymuję się i robimy oględziny, które dają jednoznaczny wynik: jedno z wewnętrznych ogniw łańcucha pękło - w zasadzie to stwierdzamy jego brak /znowu fuks, łańcuch nie urwał się a jedynie "ostrzegł" o swoich zamiarach.

Piotrek siada na PC-eta i wali na poszukiwania kluczy oraz piłki do metalu /łańcuch jest zakuty i nijak go ściągnąć bez dłuższych kombinacji/. Wraca za niecałe pięć minut z czymś o niebo lepszym jak wszystkie klucze świata, znalazł czynną w NIEDZIELE !!! bazę czegoś w stylu naszego kółka rolniczego. Łukasz idzie poboczem a Ja powolutku dotaczam się do warsztatu, gdzie mechanik daje mi Boscha i pomaga założyć nowy łańcuch.

Cała operacja trwa kilkanaście minut i po chwili jedziemy dalej a zadowolony mechanik macha na pożegnanie trzymając w ręce stary łańcuch, który systemem O-ring zrobił na nim piorunujące wrażenie /podejrzewam, iż służy mu do dzisiaj w starej Jawie, która stała oparta o drzwi warsztatu/.



Zatrzymujemy się późnym popołudniem na nadmorskim kempingu koło Sozopola gdzie spędzamy kolejne dwa dni. Z uwagi na narastające zagrożenie w Turcji rezygnujemy tym razem ze skoku do Istanbulu ograniczając się do przygranicznych wojaży, które po dwóch kolejnych dniach kończymy skierowaniem motorów w stronę rumuńskich Karpat i zamku Bran - siedziby Włada IV czyli mitycznego Draculi.

Droga powrotna przez Bułgarię przebiega bez niespodzianek a przejście graniczne Ruse - Giurgiu zaskakuje nas niemal zachodnim standardem bez jakiegokolwiek naciągania /przejście jest również osobne dla strony bułgarskiej i rumuńskiej i mieści się po obu stronach mostu na Dunaju/. Kolejną noc na ziemi rumuńskiej urozmaicają nam zdziczałe psy, które miejsce gdzie rozbiliśmy namioty obrały sobie za teren walk terytorialnych.

Po niespokojnej nocy ruszamy w Karpaty, góry przypominają miejscami nasze Bieszczady w makro-sakli. Serpentynty i zjazdy są urozmaiceniem trasy choć ilość i skala ich trudności

ma się nijak do karkołomnych chorwacko - bośniackich odpowiedników. Parking pod Zamkiem w Bran wita nas dziesiątkami motocyklistów w tym z Polski /pierwsi i najdalej "wysunięci" na południe motocyklowi turyści jakich spotkaliśmy w czasie tego wyjazdu/ a różnorodność sprzętów usatysfakcjonowała by niejednego "zlotowicza".

Szybkie zwiedzanie i w drogę, w powietrzu wisi burza a grzmoty nieuchronnie świadczą iż zbliża się ona w naszym kierunku. Przejeżdżamy jeszcze ze 100 km. i zatrzymujemy się w domkach kempingowych jakie oferuje część rumuńskich moteli /cena śmieszna, cały dwuosobowy domek za niespełna 10 USD u nas kemping więcej kosztuje/. Rano po burzy ani śladu, a głowy choć ciężkie /trunki też nie są w Rumunii najdroższe/ to po obfitym śniadaniu nadają się do jazdy. Przeskakujemy kolejne 500 km. i przejście rumuńsko - węgierskie tak że, około 17.00 meldujemy się na kempingu w Tisaovaros, gdzie Ja z Agą rozbijam namioty a Piotrek z Łukaszem idą wymoczyć obolałe dupska w basenach termalnych - coś wspaniałego a ulga nie do opisania.

Rano ponowna kąpiel w basenie, szybkie składanie kłopotów i powrót do domu. Aha, już w domu z portfela wypadła mi ta ukraińska "wiza", bez której to podobno miałem już nigdy nie opuścić tego gościnnego kraju - prawdziwie wschodni porządek /niestety u nas jeszcze często jest podobnie.

Informacje uzupełniające i ceny wybranych artykułów:

Ukraina: drogi - dobrych brak ale dla sprzętów typu Transalp, Africa Twin, Tenera i inne turystyczne endura nie stanowi to problemu /jak są niezłe odcinki to trzeba uważać bo na stowę będzie GAJ - stały punkt kontrolny Policji, takie punkty mieszczą się najczęściej przy trasach wylotowych z miast/, ceny - dla nas ekstra, paliwo około 2,95 - 3,10 hrywny, suty obiad w restauracji na dwie osoby góra 50 hrywien /można zjeść i za 10 hrywien od osoby ale to już skąpstwo/, ludzie - jak wszędzie ale generalnie mili tylko bieda poraża /szczególnie boczne, nieuczęszczane trasy/, bezpieczeństwo - nie miałem nigdy /a w sumie byłem tam kilka razy/ przykrych doświadczeń ale też i nie szukałem "wrażen", kempingi - nie widziałem ale starzy górale mówili że podobno gdzieś są - tylko gdzie?, waluta 1 hrywna = 0,65 zł. /dane odnośnie cen i kursu waluty z początku grudnia 2004/

Rumunia: drogi - niezłe, podobne jak nasze, praktycznie wszędzie można dojechać nawet ekstremalnym ścigiem bez urwania plastików /ale ze skrótów radzę korzystać tylko posiadaczom turystycznych enduro/, w większych miastach stan nawierzchni dramatycznie spada ale widziałem sporo remontowanych odcinków, ceny - kempingi b. tanie, paliwo około 30.000 - 32.000 lei, obiad na dwie osoby to koszt od 200.000 do 400.000 lei /w zależności od lokalu i apetytu/, ludzie - super, nie było jakichkolwiek problemów, uczynni i życzliwi /problem stanowi język zupełnie niezrozumiały ale w restauracjach i większych ośrodkach można dogadać się po angielsku lub niemiecku/, bezpieczeństwo - Ja oceniam wysoko, żadnych problemów z Policją i służbami granicznymi, nigdzie nie spotkały nas jakiegokolwiek niemiłe niespodzianki, waluta - 1 USD = 33.000 lei /dane z przełomu lipca/sierpnia 2004/

Bułgaria: drogi - dobre nawet w miastach, ceny - kemping około 15 lewa za dwie dorosłe osoby, namiot i motocykl /tj. cena dla obcokrajowców, Bułgarzy płacą nawet kilka razy mniej ale taka sytuacja jest uwzględniona w cennikach poszczególnych kempingów i nie warto się wyklócać /, paliwo około 1,3 lewa, obiad na dwie osoby to góra 15 lewa /jedzenie generalnie dużo tańsze jak u nas/, bezpieczeństwo - nie jest źle, ale na boczne trasy samemu bym się nie zapuszczał /zupełnie co innego w grupie choćby na dwa motory, spojrzenia autochtonów w odizolowanych od "cywilizacji" miejscach nie są zbyt przyjazne/, policja i służby celne to w/g mnie faktycznie banda ale solidarna grupa może wygrać nie jedną "rozgrywkę" /oczywiście tylko spokojem i opanowaniem ale w zdecydowany sposób/, waluta - 1 USD = 1,5 lewa /dane z przełomu lipca/sierpnia 2004/

Wniosek - bardzo fajne i tanie wakacje ale zdecydowanie polecam wyjazd na minimum dwa motocykle, znam wiele "bardziej przewidywalnych" miejsc na samotną włóczęgę /Rumunia a szczególnie rejon Karpat z uwagi na odległość nadaje się również na kilkudniowe wypady/. Co do Bułgarii to dodam, iż kraj jest naprawdę piękny /szczególnie wybrzeże/ ale warunki sanitarne poza turystycznymi enklawami są szokujące. Gdyby nasz Adaś w sezonie letnim ćwiczył wybicie z progu na bułgarskich kibelkach miałby power w nogach jak pocisk Stinger po wystrzeleniu, a gibkość w talii jak ten gość "pająk" co wyszedł na Mariota. Ja osobiście stwierdziłem, iż za potrzebą, można jedynie na stacjach Shell, ale one są tylko w Burgas, Varnie i Sofi - jazda po tym kraju musi być naprawdę zaplanowana z zegarkiem, a raczej gumką od majtek w rękę.